


JAN ADOLF HERTZ

Z TEKI WRAŻEŃ


KRAKÓW 1901 · NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI ·
W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI ◆ ◆ ◆ ◆ ◆

IBL
Egz. archiwalny IBL

 JAN ADOLF HERTZ

Z TEKI WRAŻEŃ

INSTITUT
BADAŃ ETNOGRACYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-180 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW 1901 · NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI ·
W DRUKARNI W. L. ANCYCA I SPÓŁKI 



F 1070

Kierownikowi sympatycznemu kierownikowi naszych „Cytan
klasycznych” p. Karimierowi Sterlingowi

Jandolpus

1/4.09.

Samuelostwu Hirszenbergom

w dowód szacunku i serdecznie szczerzej przyjaźni

KTO WPIERW ?

»Bodaj to życie bajką było«.

M. Gliński.

Skończyło się... Przed godziną grabarze cmentarni zasypali świeżą mogiłę, a mogiła pochłonęła ciało tej, która przez lat przeszło pięćdziesiąt dzieliła z nim dołę i niedołę.

Pozostał sam jeden na tym szerokim świecie, sam ze swojemi myślami i wspomnieniami niepowrotnej przeszłości. Siedzi teraz przy stole w głębokim, starym, wytartym fotelu, przed nim leży otwarty album, a tuż obok niego przy próżnym łóżku swej pani stary pies Neron cicho i żałośnie wyje.

W pokoju panuje cisza, którą od czasu do czasu przerywają żałosne jęki psa, westchnienia staruszka i szelest przewracanych kart albumu. —

Ten do życia i świata uśmiechający się młodzieniec o czarnych jak heban włosach i pięknem pełnem odwagi spojrzeniu — to on, a ta jasnowłosa niebieskooka dziewczeczka — ona. Tak wyglądali oboje pięćdziesiąt dwa lat temu, kiedy się poznali i pokochali.

Tu fotografia córki, tam syna, brata, tu znów wnuka, wnuczki...

I tak przewracał kartę za kartą. Fotografia mknie za fotografią, a z każdej wieje ciężkie i chłodne powietrze grobów.

Ci wszyscy otaczali go niegdyś. Każdy z nich miał z nim wspólne myśli, nadzieje, troski, radości i nieszczęścia; każdy z nich był częścią jego życia, częścią jego serca. Pod jego okiem wszyscy wzrastali i każdego z nich łączyło jego odprowadzały na miejsce wiecznego spoczynku.

Ten album to jego przeszłość, a przyszłość — gdzie jej świeża mogiła.

Ani jednej łączy już nie przelał nad tym grobem, nad mogiłą tej, która z nim razem płakała nad grobami tych wszystkich.

»Teraz na nas kolej mój ty stary, wierny towarzyszu«...— szepnął starzec, patrząc na wciąż jeszcze wyjącego Nerona. A pies, jakby zrozumiał mowę swego pana, przywłókł się do nóg starca, spojrzął na niego swymi poczciwymi, mądrymi ślepiami i zdawał się pytać: »kto wpierw?«

Już słońce dawno zaszło, łagodny wietrzyk cicho kołysze do snu drzewa pobliskiego ogrodu. Ponury, monotony dźwięk dzwonów z wieży starego kościoła wzywa pobożnych na wieczorną modlitwę, a starzec wciąż siedzi w swym wytartym fotelu i przewraca karty albumu, a u nóg jego Neron wyje, wyje, wyje...

TY SPIJ SPOKOJNIE.

»Lieben heisst ja — sich selbst vergessen«.

Saphir.

Ty śpisz spokojnie...

Wszystkim najędzniejszym nawet noc przynosi odpoczynek i zapomnienie, mnie — męczarnie, straszne, niewypowiedziane męczarnie...

Na dworze błyskawica ściga błyskawicę, a wiatr, jakby walcząc o lepsze ze strasznymi pociskami Jowisza, wściekle wyje.

Promycalek bladego, z pod ciemnych chmur posępnie wyglądającego księżycy, przedzierając się przez szpary okiennicy, zaćmiewa światło mej nocnej lampki. Hucząca na dworze burza maleje wobec burzy w mej piersi szalejącej.

Dobrze, dobrze, że zimne i brudne krople ulewnego deszczu przez słabo pokryty dach wpadają do mej izdebki i oblewają poduszkę, bo inaczej poznaliby, żem płakał i litovaliby się nade mną, a ja się ich litości boję, ja się ich litością brzydę!

A ty śpisz spokojnie...

W sercu mem pali się wielkie piekielne ognisko, a żar rozchodzi się po całym moim ciele i pali mnie, pali i pali.

Z głowy mojej wysuwają się szeregi dzikich myśli, myśli ponurych, groźnych, czarnych, coraz czarniejszych i nacierają na mnie silnie i gwałtownie.

A jedna najdziksza i najczarniejsza z nich wszystkich staje przede mną i mówi: »Jam jest twoja przyszłość« i wszystkie wtórują jej lodowatym śmiechem, śmiechem szatańskim.

Dreszcz febryczny wstrząsa całym moim ciałem.

Straszno mi...

Nadaremnie się rzucam, nadaremnie zwijam się w kłębek i kryję pod kołdrę: śmiech szatański ciągle brzmi w moich uszach, piekielny żar pali i pożera mi wnętrze, a myśli nacierają na mnie wciąż silniej i wścieklej.

I nigdzie przed nimi uchronić się nie mogę, bo torturujące mnie myśli i żar piekielny są we mnie samym. Chyba, że sobie czaszkę o mur roztrzaskam, a mózg i serce poszarpię.

Straszno mi...

Wciąż mi gorzej i gorzej... Z każdą chwilą nowe straszniejsze męczarnie.

Napróżno rzucam się, szarpię, płaczę, wzywam litości Nieba: przyszłość moja w czarnym płaszczu na czele swych szatańskich towarzyszek ciągle stoi przede mną i swym ostrym, przenikliwym wzrokiem patrzy mi w serce, które już nawpół zwęglone wciąż dalej się pali i pali...

Wtedy jak pobożny, który przed nieczystą siłą zasłania się słowami modlitwy, ślę modły do tej, do której się jeszcze modlić mogę i ze czcią wymawiam jej imię.

Nagle ucichł wiatr, uspokoiła się burza, jasność niebiańska oświeciła cały mój pokój, a bezlitosne myśli uciekają przed nią w nieładzie i kryją się z pośpiechem do najgłębszych komórek mej mózgowicy.

A duch cały w bieli porwał mnie w swe ramiona i unosi ponad ziemię i ponad wszystko ziemskie wysoko, wysoko.

Błogo mi...

Płyniemy wciąż wyżej, wyżej i wyżej.

Gdyśmy minęli księżyc, przewodnik mój rzekł: »Oto wasza ziemia«. Spojrzałem we wskazanym mi kierunku i ujrzałem maleńką czarną kulę, a na niej poznałem miasto moje; począłem więc szukać mej wybranej, lecz jej nigdzie dostrzedz nie mogłem. Rzekłem tedy do mego bezcielesnego przewodnika — »Panie mój! widzę wszystkich i wszystko, lecz tej, którą ukochałem i którą najbardziej ujrzyć pragnę, nigdzie znaleźć nie mogę«.

W odpowiedzi na cichą tę skargę duch opiekuńczy wskazał mi coś palcem w kierunku ziemi i rzekł: »Patrz!«

I ujrzałem łożę ze słonecznych promieni utkane, które maleńkie złotowłose cherubinki trzymały wysoko ponad ziemią, a lekkie powiewne zefiry cicho kołysały do snu, a na niem królową mych snów i marzeń. Twarz jej była spokojna i blada bladością znajdującego się pode mną księżycyca, a na głowie miała djadem z trzech gwiazd złożony, a takich pięknych, wielkich i jasnych gwiazd nie było nawet między temi, które miałem nad sobą.

Panie mój — zapytałem nieśmiało — wszak ona była na ziemi gdyż mnie stamtąd unosił, a teraz...

— Mylisz się, synu mój! — przerwał mój przewodnik ona tam nigdy nie była: »ona nieziemska«.

A potem opuścił białe skrzydła i rzekł mi: »zamknij oczy! wrócimy na ziemię«.

Spełniłem rozkaz mego bezcielesnego przewodnika i uczułem, że pędzimy z błyskawiczną szybkością...

Nagle wielka jasność oblała mnie całego. Otworzyłem oczy i ujrzałem się tuż obok łoża ze słonecznych promieni

utkanego, na którym ona spokojnie spała, jaśniejąc niebiańską pięknnością — a pierś jej miarowym falowała oddechem.

Patrzałem na nią z zachwytem długo, długo...

Duch opiekuńczy dotknął zlekka mego ramienia i zapytał — »Synu mój! powiedz czy pragniesz jej miłości, a uczynię cię szczęśliwym«.

— O tak! — zawołałem i na tę myśl uroczą zalałem się gorącymi łzami szczęścia.

— Dobrze więc, — odparł mój przewodnik — lecz przedtem musi ona przez trzy dni i tyleż nocy cierpieć tak, jak ty przez swą miłość ku niej cierpiełeś długie, długie lata«.

— Przenigdy! — zawołałem. Ani jednej jej łzy nie dam nawet za całe życie szczęścia. Cierpiałem tyle i tak długo, a tak strasznie, żem oto już sądził, iż nareszcie zdołałem wzruszyć Niebo tyloma tysiącami krwawych, gorzkich i ognistych łez, lecz jeśli ta nadzieja moja płonną była, będąc cierpiał i dalej, przez całe życie nawet, tylko ją zostawcie w spokoju«.

— Wiedz o tem — szepnął wtedy mój opiekuńczy duch biały — że i ja niegdyś kochałem i dlatego rozumiem cię, współczuję z tobą i chcę twego szczęścia: nie będzie cierpiała, obudzę ją tylko.

Padłem tedy na kolana, ucałowałem śnieżną jego szatę i błagałem...

— Nie budź jej panie; ona śpi tak spokojnie...

Jeszcze słów tych nie dokończył, gdy białe widmo odlatywać zaczęło, a wkoło mnie zrobiło się ciemno, ciemno i — poczułem że padam w jakąś straszną bezdenną przepaść.

Wyciągnąłem błagalnie ramiona ku memu duchowi opiekuńczemu, lecz on już był daleko, daleko i wznosił się

wciąż wyżej, wyżej ku słońcu, ku gwiazdom, a odlatując,
uronił łzę — łzę litości i współczucia.

A ja wciąż padałem, padałem
.
.
. Lodowaty śmiech za-
brzmiał mi w uszach, piekielny żar pali i pożera mi wną-
trności, a myśli nacierają na mnie wciąż silniej i wścieklej.

A jedna najdziksza i najczarniejsza z nich wszystkich
znowu stoi przede mną i swoim ostrym, przenikliwym wzro-
kiem patrzy mi w serce i powtarza wciąż: »Jam jest twoja
przyszłość!«

I wszystkie jej ciągle, ciągle tak szyderczo, tak strasznie
chichoczące towarzyszkę wtórują jej lodowatym śmiechem —
śmiechem szatańskim.

Dreszcz febryczny wstrząsa całym moim ciałem
Straszno mi
.
.
.
. Ty śpij spokojnie.

CZY PROZA?

Kończyła właśnie sprzątanie ze stołu, gdy wtem w drugim pokoju rozległ się huk — i krzyk padającego dziecka.

Cała blada i drżąca z przestachu wpada do pokoju, chwyta w objęcia biedne pokrwawione dzieciątko i okrywa jego twarzyczkę gorącymi pocałunkami — pocałunkami matki.

Jaki to był piękny, jaki wzniosły widok tej matki, przykładającej chustkę zmoczoną w zimnej wodzie do twarzy swego dzieciątka i patrzącej na nie wzrokiem pełnym macierzyńskiej miłości, wzrokiem trwogi, obawy i niepewności o zdrowie, całość i bezpieczeństwo swej jedynej dzieciny.

Jakimi pieszczotliwymi i słodkimi słowy przemawiała ta matka... Nie! tego opisać nie można.

A dziecię? To drobnusie, zaledwie trzechletnie małeństwo, jakby intuicyjnie zrozumiawszy, jak jego każde skrzywienie, każda łezka niewypowiedziane szarpie i krwawi to kochające je serce, wciąż mocniej i mocniej przytula się do łona swej rodzicielki, swej karmicielki, uśmiecha się do niej tak słodko, tak tkliwie i powtarza wciąż: »Mnie już nie boli, nie boli mamuniu«.

Niechaj tu staną! tu spojrzą ci wszyscy, którzy w tem »szarem«, jak je nazywają, życiu nie widzą nic więcej prócz

grubej i szorstkiej prozy, ci wszyscy szukający poezji i piękna tylko na kartach książek, martwych płótnach, zimnych marmurach i gdzieś za górami, a nie mogący ich znaleźć tuż obok siebie w tem »szarem« życiu.

Tu niechaj staną i tu niechaj spojrzą! — powtarzam — na tę matkę w całej pełni swej kobiecości, otoczoną aureolą swego macierzyństwa, na to maleństwo, ukrywające ból i uśmiechające się do niej przez łzy — i powiedzą z ręką na sercu, czy życie jest tak szarem i czy to jest proza?

* * *

Słońce zachodziło.

Chór cudnie pięknych i harmonijnych barw na melancholijnym i smutnym tle nieba śpiewał cichą pieśń wieczorną.

Dusza moja zasłuchana w tę dziwnie piękną melodję zapomniała o wszystkim i wszystkich i usnęła snem słodkim i spokojnym.

Blady księżyc wysunął nieśmiało rąbek swej srebrzystej szaty z poza sinawej chmury, spojrzął z bojaźnią w stronę słońca, a widząc je na drugim już krańcu nieba, płynął wciąż śmieiej i śmieiej.

A życiodajne słońce, przyodziane w najpiękniejsze stroje i oznaki swej wielkości, powoli, majestatycznie kończyło swą dzienną pielgrzymkę i z każdą chwilą opuszczało się niżej, niżej.

Było piękne!...

A w górze wciąż brzmiała pieśń, której każdy ton padał na biedne moje serce i szarpał je strasznie i krwawił.

I zapłakało serce krwawymi łzami, a płakało tak rzewnie i boleśnie, że dusza moja zerwała się ze swej chwilowej drzemki, i zawtórowała mu głośnym łkaniem.

A tymczasem słońce, w całej swej sile i piękności uśmiechnęło się raz jeszcze swym pobłażliwie-ironicznym uśmiechem, spojrzało z pogardą na czarną ziemię — i zaszło.

OSTATNIE »KOŁ NYDRAJ«¹⁾.

Ponure, zagadkowe światło dużej woskowej świecy, stojącej w napelnionym piaskiem moździerzu, zlewając się z drżącymi płomykami czterech małych stearynowych świeczek, oświetla małą, niską, lecz czystą i schludną stancyjkę ślepego *meszojrera*²⁾ Jankła.

W pokoju panuje cisza, cisza tak dziwnie majestatyczna i uroczysta, że nawet stary drewniany zegar wstrzymał bieg swych wskazówek, że jęki konającego starca wydobywają się tak cicho i trwożliwie z jego schorzałych piersi, jakby bały się zagłuszyć i tak zaledwie dosłyszalne westchnienia młodego Abrahama, siedzącego przy łóżku swego siwego ojca.

Od roku już prawie stary Jankiel, zwyciężony przez nieuleczalną chorobę i brutalnie przez nią rzucony na łożo boleści, leży i czeka na ukazanie się, na przybycie zbawicielki — śmierci. O bo on wierzy! niewzruszenie wierzy, że śmierć jest zbawieniem, że z nią dla sprawiedliwych i cnotliwych zaczyna się nowe, wiosenne, niczem nie zmącone życie pełne prawdy, słońca i światła.

¹⁾ »Koł Nydraj« = pieśń religijna śpiewana przez żydów w wieczór wigilijny Sądneho dnia.

²⁾ Meszojrer = chórzysta synagogalny.

A on już od czterdziestu lat, czterdzieści, jak wieki całe długich lat nie widział światła, bo dwudziestego piątego roku jeszcze nie dobiegł, gdy za sprawiedliwą, jak zawsze, wolą Nieba wzrok utracił i został pogrążony w wieczną grobową ciemność.

Przez cały ten czas dusza jego tak spragnioną była światła, jak jego ojcowskie serce tęskniło za widokiem najmłodszego syna, którym go Bóg przed dwudziestu laty na pociechę jego starości obdarzył.

I oto teraz, borykając się ze śmiercią, której lodowaty oddech już czuje w sobie i wokół siebie, myśli wciąż nad tem, czy on na to nowe życie ziemskim swem życiem zasłużył, czy śmierć i dla niego będzie światłem, czy też tylko przejściem do innych straszniejszych jeszcze ciemności.

Przed chwilą byli tu wszyscy jego drodzy: dzieci i wnuki, a on całował ich niewidzialne dlań twarze, błogosławił im i czuł, że to już poraz ostatni im błogosławi, że to już po raz ostatni czuje ich gorące łzy na swych wychudłych rękach, że to już ostatnia jego wigilia *Jojm Kiperu*¹⁾.

Jojm Kipur... W ten dzień najuroczystszy z uroczystych wszyscy: najmniejsze nawet dzieci, starcy zgrzybiali,— wszystko spieszy do synagogi, by błagać Pana wszechświata i wszechtworów Sędziego o przebaczenie za swe grzechy, za grzechy swych bliskich i za grzechy całego Izraela.

A on jest już tak nędznym, tak nędznym..., że nie tylko sam nie mógł się zawlec do starej, zaledwie o dziesięć kroków oddalonej bóżnicy, lecz jeszcze przykuł do siebie swego najmłodszego i najukochańszego syna.

I jęczy i płacze zbolała jego dusza, i krwawi mu się serce, i szlocha całe jego jestestwo nad tem, że nie będzie

¹⁾ *Jojm Kipur* = Sądny dzień.

go już, jak dawniej, jak zawsze, tam w synagodze wśród chóru, śpiewającego cześć i chwałę Pana nad pany i błagającego Go o zmiłowanie nad wybraną Jego dziatwą — o zbawienie i oswobodzenie tego biednego i tułaczego ludu.

Wśród tego chóru widzieli pobożni ślepego Jankiela i słyszeli jego piękny, dźwięczny głos od sześćdziesięciu lat prawie, bo siedmiu lat jeszcze nie liczył, gdy go rodzice oddali do chóru starego *chazena*¹⁾ Mojszy.

Od tego czasu trzeci już *chazen* umarł, a Jankiel zawsze jeszcze, w każde święto, w każdą sobotę swym potężnym metalicznym głosem słał modły przed tron Króla królów i tłumaczył Mu prośby wszystkich wiernych synów Jakóba.

Zmrok zapadał, lecz Jankiel go nie widział, a czuł tylko w sobie jakieś zimno, przenikające go aż do szpiku kości i mrozące jego bólem rozpalone serce.

Światło synagogi, kąpiące się w jednym z okien, odbiło się na szybach okna małej stancyjki i jakby czerwona krwawa łuną zajrzawszy do jej wnętrza, przyćmiło płomień woskowej świecy i stearynowych jej towarzyszek, które zawstydziły się swego nędznego blasku i zwinęły zupełnie swe skromne i drżące płomyczki.

Ze strony starej bóżnicy doleciał jakiś szum, a potem coraz wyraźniej i wyraźniej zabrzmiała zbiorowa, łzami przeplatana modlitwa kilkuset ludzi.

Po kilku chwilach wszystko znów ucichło i nagle... *chazen* w towarzystwie chóru z początku cicho, a potem coraz głośniej i głośniej zaśpiewał piękną starodawną pieśń *Koł Nydraj*.

¹⁾ Chazen = główny śpiewak bóżniczy, odprawiający nabożeństwa.

I zdawało się Jankielowi, że nie tylko chór, nie tylko pewna część jego miejscowych współwyznawców, nie tylko jego lud cały, lecz wszystkie ludy tego świata, cały wszechświat, cała przyroda: zwierzęta, rośliny i kamienie nawet — wszystko, wszystko śpiewa wraz z tym chórem tę w nieskończoność płynącą pieśń — *Kol Nydraj*.

I zdawało mu się, że w tej pieśni tkwi cała słoneczna przeszłość, cała smutna terażniejszość, i zagadkowo-ciemna przyszłość tego nieszczęsnego i zbolalego ludu.

Zerwał się Jankiel — jęk tak głośny wydobył się z jego piersi, iż zdawać się mogło, że ten człowiek w ten jęk włożył cały swych sił ostatek — usiadł na łóżku i zasłonił sobie twarz swemi trupiemi rękoma.

Przestraszony syn podbiegł do ojca, lecz ten odsunął go ruchem ręki i rzekł mu: »Śpiewaj ze mną!«

I zaśpiewał stary *meszajrer* swe ostatnie *Kol Nydraj*, a śpiewał tak dziwnie pięknie, tak pięknie! tak wzniosłe! iż zdawało się, że z ostatnią nutą tej pieśni wszystko: cały wszechbyć, całe wszechistnienie runie i przemieni się w nicość.

Bo w pieśń tę on przelał wszystkie swe przeżyte bóle i cierpienia, całą swą czterdziestoletnią tęsknotę za światłem, całą bezgraniczną tysiące lat trwającą niedolę swego bezdomnego i strapionego ludu, że przeistoczyła się ona w jakąś cichą i rzewną, a pomimo to nieziemsko-tytaniczną skargę całej ludzkości, którą ona zaczęła śpiewać za pierwszym swem tchnieniem, a która się nie skończy jeszcze nad jej grobem.

Chór w synagodze już dawno skończył pieśń, a Jankiel wciąż śpiewał, śpiewał i śpiewał...

Lecz siły stopniowo go opuszczały, śpiewał więc coraz ciszej, ciszej i ciszej. I tak z pieśnią na ustach padł na

łóżko, szepnął »widzę« i zamknął na zawsze swe ślepe światła łaknące oczy.

A syn, porwany pieśnią starca, nie zauważył jego śmierci, stał nad trupem ojca i śpiewał wciąż piękną starodawną pieśń — *Koł Nydraj*.

OBRAZEK Z NOWELKI »UNIEWINNIONY«.

Obiad się skończył. Pożegnał żonę, uściskał dzieci i powrócił do fabryki. Ona sprzątnęła ze stołu, umyła naczynia, następnie rozebrała dzieci i śpiwając, złożyła je na łóżeczku. Dzieci usnęły. Patrząc na złotowłose swe dzieci, odczuła całą niedolę tego nieszczęsnego człowieka, który stracił odrazu żonę i dziecię.

O gdyby jej — broń Boże! — zabrano jednego z aniołków, ona by tego nie przeżyła! Na tę myśl straszną spojrzała pełnym macierzyńskiej tkliwości wyrazem na rumiane, czerstwe buziaczki swych dzieci, uśmiechnęła się z zadowoleniem i, schyliwszy się nad łóżeczkiem, złożyła na główkach uspiomych dziecię gorące pocałunki.

I tak z zachwytem spoglądając na dzieci, nie spostrzegła, jak drzwi się rozwarły i mężczyzna silnie zbudowany z krzykiem »Magdo, moja Magdo!« wpadł do pokoju.

Zadrżała, odwróciła głowę: przed nią stał Antoni Wawrzesiak, który ujrawszy ją zawołał »Gdzie moja żona, dziecię?!«

— Siadaj pan, siadaj — prosiła zmieszana kobieta.

— Gdzie moja żona?! Kobieto! miej litość! mów prędzej, gdzie ona teraz mieszka.

— U Boga — odpowiedziała cicho.

Zbladł, zachwiał się mężczyzna i duszę rozdzierającym głosem zawołał »Umarła«...

Kilka chwil trwało milczenie.

— Nie masz już matki, sierotko moja... szeptał nieszczęsny do siebie.

— U kogo moje dziecię teraz? — zapytał po chwili.

— Poszło do matki — odpowiedziała kobieta i nie mogąc się od łez powstrzymać, łkać poczęła.

Straszny krzyk — krzyk wściekłości wydobył się z piersi nieszczęśliwego męża i ojca, zacisnął konwulsyjnie pięści i bez czapki, jak zwierz raniony, wypadł na ulicę, biegł jak szalony, powtarzając z wściekłością jedno tylko słowo: »uniewinniony! uniewinniony! uniewinniony!«

NAD GROBEM MARZEŃ.

»Es ist eine alte Geschichte«.

Heine.

Wszystko skończone... Pierzchła nadzieja, pierzchły marzenia, pierzchły sny złote — pierzchły na zawsze.

Trzy lata minęły od czasu, gdy ją poznał, a przez cały ten czas każda jego myśl, każdy skurcz jego serca był jej i dla niej.

Przez cały ten czas wszędzie i zawsze, we śnie i na jawie widział swą wybraną dziewczeczkę i śnił, że oczy jej mówią mu wciąż: »Excelsior, excelsior, excelsior!«

Pod wpływem tej wielkiej, czystej, niczem nie skalanej miłości z każdym dniem, z każdą godziną niemal oswobadzał się coraz więcej i więcej z pod jarzma mieszkającego w nim zwierzęcia i oto po długiej, strasznej i męczącej walce stał się wreszcie człowiekiem.

Z piersią wezbraną radością, z głową pełną różowych, złotą nicią przeplatanych marzeń wracał dziś jeszcze z ostatniego egzaminu.

Jeszcze rok, jeszcze jeden rok pracy, a potem
. Biedny marzycielu!
rozwiały się sny twoje, rozbiła się łódź twoich marzeń o skałę rzeczywistości — i poszła na dno.

Chciałeś po trzech latach tęsknego oczekiwania usły-

szeć to czarowne słowo »kocham« i usłyszałeś, że ona kocha, lecz nie ciebie...

Północ już dawno minęła, a on stał jeszcze przy otwartym oknie, zapatrzonego w jasne, pogodnie i uśmiechnięte, jakby nic o jego niedoli nie wiedzące niebo, w spokojnie i majestatycznie odbywający swą wędrówkę księżyc i w jego na wszystkich i wszystko obojętnie patrzące towarzyszki — gwiazdy.

O gwiazdy! księżycu! czemu już nie przemówicie do niego tak jak dawniej, jak zawsze, jak wczoraj jeszcze; czemu już nie powiecie mu: »Czekaj i miej nadzieję«.

Zmierzch już dawno ustąpił miejsca zwiastunce dnia — zorzy, kiedy nieszczęsny odszedł od okna, rzucił się na łóżko i zapłakał.

Zapłakał nad swoją młodością, nad swoim niepowrotnie utraconym szczęściem, nad grobem tej jego żyjącej umarłej — nad grobem marzeń.

* * *

»A choć mi tak niebo Ty złocisz i morze
Smutno mi Boże!« *Słowacki.*

Smutno mi, smutniej o wiele niż Słowackiemu, bo on w swym przepięknym i nieśmiertelnym wierszu smutek swój powierza Bogu, a ja wiem, wiem zbyt dobrze, że nikt mnie ani wysłuchać nie zechce, ani zrozumieć nie może.

I nie dziwię się wcale tym wszystkim otaczającym mnie obcym, bo ja sam, czując ból, krwawiący mi serce, napróżno mózg mój szarpie i pytam »dlaczego?«

Smutek bezbrzeżny, bezgraniczny smutek wyciska z każdej cząstki mego »ja«, z każdej cząsteczki mego jestestwa łązy gorące i krwawe, a ja nie wiem dlaczego mi smutno, dlaczego mi tak strasznie, tak nieskończenie smutno.

Nie wiem, a czuję, że chcę, że muszę wiedzieć, że muszę sobie odpowiedzieć na to dręczące mnie pytanie i dlatego coraz wścieklej, coraz zwierzęcej mózg swój szarpie i wciąż głośniej i głośniej pytam »dlaczego?!«

Lecz mózg mój w tej walce z wściekłymi pazurami torturującego go pytania wciąż twardniał i twardniał — i wreszcie zamienił się w kamień.

Wtedy, widząc że już żadnej zeń nie wyszarpię odpowiedzi, zwracam wzrok w samego siebie, szukając w sercu swem miejsca dla ostrych, krwią kapiących szponów — i oto wiem już, że mi smutno dlatego, że wiem i nie wiem...

Smutno mi, bo nie wiem poco, czem i dla kogo jestem, bo wiem, że mnie coś bezustannie ciągnie naprzód i naprzód, a nie wiem, dokąd zajdę i nigdzie żadnej dla siebie już nie widzę drogi.

Smutno mi, bo wiem że moje »wczoraj« było jednym pasmem cierpień i bólu, a moje »dziś« jeszcze gorsze zwiastuje mi jutro.

Smutno mi, bo dawniej sny miewałem piękne i straszne, a teraz wiem, że zawsze już, do dni mych ostatka spać będę cicho i spokojnie.

Smutno mi, bo mi żal tych krew mi mrozących snów strasznych, bo po nich *niekiedy* do mniej smutnej wracałem rzeczywistości.

Smutno mi, bo mi żal tych, ku wirchom mnie niosących, złototkanych snów różowych, choć po nich *zawsze* do przesmutnej wracałem rzeczywistości.

Smutno mi, bo mi żal, żal tych pięknych i strasznych snów moich, a wiem, że sny te już nigdy, nigdy nie powrócą.

Smutno mi, bo trzy piękne, młode i kochane miałem siostry, a oto teraz trzecią już naujukochańszą pochowałem Nadzieję.

Smutno mi, bo wiem, żeś obcy i samotny na tej pustyni życia, a nigdzie najmniejszej nawet nie widzę oazy.

Smutno mi, bo mniemałem ciągle, iż całe życie szedłem ku szczytom, ku góróm, a teraz wiem i widzę, że to były tylko wydmy piaszczyste, które wicher z miejsca na miejsce przenosi.

Smutno mi, bo dawniej, gdy wkoło mnie burze szalały, mogłem uciec, schronić się w samego siebie i znaleźć sen i odpoczynek na tryskających życiem obszarach, pełnych bujnych traw, różnobarwnych, wonnych kwiatów i owocodajnych drzew gwarzących, a teraz wiem, że z tego

wszystkiego tylko step pozostał, który od palącego mnie żaru wkrótce w piaszczystą się zmieni pustynię.

Smutno mi, bo wmawiają we mnie, że oto *już* nowe *meta-ludzi* się rodzi pokolenie, a ja wiem i widzę, że wszyscy: starzy, młodzi i najmłodszy nawet do starego *meta-zwierząt* należą *jeszcze* rodu

Teraz wiem już, dlaczego mi tak bezgranicznie i bezbrzeżnie smutno i widzę, jak uświadomiona tego smutku iskierka wciąż rośnie i rośnie i oto w piekielny rozpalila się płomień.

I pali się we mnie, a ogień, sięgając wciąż wyżej, objął i spopielił kamienne pokrowce mej mózgownicy.

A wyswobodzony mózg mój zaśmiał się z sennych widziadeł mej wyobraźni takim szyderyczym i lodowatym śmiechem, że płomienne języki opadać zaczęły, a po chwili skonały na wieki.

I znów smutek bezbrzeżny, bezgraniczny smutek wyciska z każdej cząstki mego »ja«, z każdej cząsteczki mego jestestwa łyzy gorące i krwawe, a ja nie wiem, dlaczego mi smutno, dlaczego mi tak strasznie, tak nieskończenie smutno.

I chciałbym się śmiać z tego smutku urojonego, lecz ja się już tak dawno, tak dawno nie śmiałem, że teraz już śmiać się nie umiem.

I chciałbym zapłakać nad bezsilnością swoją, lecz ja już tyle, tyle płakałem, że oczy moje wyschły i konają teraz z pragnienia.

Więc dlatego mi smutno, bom jest najnędzniejszym z nędzarzy, bo i śmiać się zapomniałem i płakać już nie mogę.

* * *

Kochać — znaczy odczuć jednocześnie wszystkie tortury piekła i rozkosze raj.

Kochać — znaczy to przelewać potoki łez szczęścia i bólu, z którychby każda mogła wytoczyć tysiące sobie podobnych z najzimniejszego nawet głazu.

Kochać — znaczy szaleć, cierpieć bezgranicznie i czuć, że się tych łez, tych cierpień i tego bólu nie odda za wszystkie, wszystkie skarby świata. Kochać — znaczy wnieść się nad poziom wysoko, z najprzeciętniejszego śmiertelnika stać się równym bogom.

Kochać — znaczy to odczuć wszystko, co jest piękne, wszystko co dobre; widzieć uśmiech trawki i kwiatka, słyszeć melodyjne gwiazd szeptania, pojąć harmonijny śpiew zefiru, kołyszącego drzew korony.

Kochać — znaczy oddychać płucami milionów, odczuć w swoim sercu współbicia serc milionów i czuć, i wiedzieć, że we mnie niema nic mojego, że ja cały należę do wszystkich, do całej ludzkosci i że ona, a z nią wszechświat cały — należą do mnie.

Kochać — znaczy to móż powiedzieć: »Przyjdźcie do mnie wy wszyscy maluczcy i cierpiący, a ja was wszystkich cząstką swej wielkosci, cząstką swego szczęścia podniosę

i uszczęśliwię. Przyjdźcie do mnie wy nie mający schronienia i dachu, przyjdźcie do mnie bezdomne, zgłodniałe i zziębłe sieroty, a ja was wszystkich przycisnę do mojej piersi i tem was ogrzeję, podzielę się z wami krwią moją, a będziecie syci i umieszczę was wszystkich w swoim sercu.

DZWON ZATOPIONY.

Zapłonął stary cmentarz tysiącami świateł, zajęczał tysiącami westchnień i zapłakał milionami łez ludzkich, bo to były zaduszki, bo to było święto — wielkie święto umarłych.

I stanął cały ten żyjący jeszcze świat na starych, niedawnych i najświeższych swoich grobach, — i załkało całe cmentarzysko i płynęła zeń skarga, skarga tak krzycząca tym bólem, co się życiem zowie, że ci w płaszcz kamiennej nieczułości i wiecznego spokoju owinięci »dawni« opuścili swe groby i zapłakali nad niewidzialnymi mogiłami życiem ujarzmionych ludzi.

I złączyły się dwa światy: ten »co już był« i ten »co jest jeszcze« w jednym wielkim wołaniu, w jednym wielkim jęku, w jednej wielkiej skardze podłością zbrukanych dusz ludzkich, serc zamarzających, zawiedzionych nadziei, snów nieziszczonych i całych kurhanów złamanego i rozwianego szczęścia.

A ludzie szli i deptali te ukochane przez się groby, a ci deptani przez nich zapomnieni umarli tulili ich do siebie i szepotali im smutne słowa beznadziejnej ciszy i spokoju.

Płakali wszyscy, płakał i Miecio mały, bo widział łzy spływające z oczu swej ukochanej, jedynej mamusi, bo ona

mówiła mu, że w tej zimnej lodem i śniegiem pokrytej ziemi leżą jej najdrożsi: tatuś i mateńka.

I czuł Miecio, że to byłoby bardzo niedobrze, bardzo jakoś źle, gdyby tak jego mateczkę i jego ojczulka Ten w górze wysoko mieszkający Bozia chciał zabrać od niego i schować tu głęboko pod tą kupą czarnego zlodowaciałego błota.

I było mu smutno i pytał Miecio mały, dlaczego dziś wszyscy starzy i młodzi, biedni i bogaci przyszli na cmentarz i dlaczego wszyscy oni tak płaczą.

I mówiła mu matka, że wszyscy ci bladzi, zbolali i płaczący ludzie przyszli gorącemi swemi łzami roztopić i rozgrzać te zamrożnięte mogiły, pod którymi śpią snem wiecznym ich ojcowie, matki, żony, dzieci, siostry i bracia.

I mówiła dalej, że dzień ten z każdym rokiem ścieśnia węzeł, łączący dwa te ciągle zamieniające się światy, a Miecio swym dziecięcym mózdzkiem małym pojął i zrozumiał, że wszyscy ci, którzy tu dziś przyszli, zrobili dobrze i, przypomniawszy sobie nagle, że i rodzice jego ojczulka, jak to nieraz od niego słyszał, też już dawno, dawno umarli, zapytał: »A gdzie są, tatuńciu, groby twojej mateńki i twego tata?«

Zbladł ojciec na te słowa swego dziecka i, zwieszając smutnie głowę, cicho odpowiedział: »Oni tam leżą na innym, po drugiej stronie pola znajdującym się cmentarzu«.

»Chodźmy do nich, chodźmy na ich groby«, prosiło chłopię i ujęło ojca za rękę, a ten posłuszny jak dziecię małe pozwolił się prowadzić, a za nim przez te tysiącami światła płonące groby szła jego żona i wszyscy troje w milczeniu wyszli z bram tego zbudzonego dziś miasta umarłych i skrzącem się od śniegu i bładem księżyca światłem oblanem polem dążyli śpiesznie ku ciemnym ponurym murom starego żydowskiego cmentarza.

Wicher w szalonym pędzie wprost ku nim biejący rzucił im w twarze całe bryły lodowatemi niemi przetykanego śniegu, nogi im kostniały ze zmęczenia i chłodu, a oni szli wciąż naprzód i naprzód, bo słowa tego chłopięcia obudziły w duszy i sercu ojca ten stary, dawny, głęboko na dnie duszy pochowany dzwon, a ten dzwon zatopiony z dawną znów, z większą jeszcze niż dawniej siłą zadzwonił.

Przestraszony i zdziwiony stary stróż cmentarny mrużąc niechętnie otworzył im bramę, lecz, udobruchany hojnym snać datkiem, po chwili przy pomocy swej latarni odnalazł i wskazał szukane przez nich groby i
. *zapomniane* polały się łązy chrześcijańskie na ~~żydowskie~~ mogiły.

* * *

Czy wiecie co to znaczy być matką? Czy znacie tę poezję życiową — macierzyństwo? Czy możecie pojąć siłę tego uczucia, wyradzającego ten intuicyjny altruizm, który każe tej uwiedzionej, unieszczęśliwionej robotnicy kochać dziecko człowieka, który ją uwiódł i unieszczęśliwił?

Zaprawdę godną — o tak! — godną zazdrości jest ciernista, fizycznymi cierpieniami usłana droga życiowa kobiet, bo one są matkami.

Grzeszy ta kobieta, która się skarży na ból towarzyszący porodowi: im większe cierpienia, im większy ból, tem większe szczęście, tem większą rozkosz się odczuwa, gdy się słyszy ten niemelodyjny, a jednak tak piękny, tak do serca matki przemawiający pierwszy płacz swego nowonarodzonego dziecięcia.

Wiecie, dlaczego niektórzy widzą w kobiecie istotę bielszą, czystsza, świętszą? — Dlatego, że ona jest matką, dlatego, że ją uświęca macierzyństwo, dlatego, że ono robi z niej kapłankę poświęcenia i miłości.

Czy wiecie, dlaczego matka tak kocha swe dziecię?

Ona kocha w niem swój ból fizyczny, swe cierpienia moralne, noce bezsenne i potoki łez przelanych.

Jakże czuła jest matka na łzy, ból i cierpienia swego dziecka. Bo to są jej łzy, jej ból i jej cierpienia.

MODLITWA WIECZORNA.

O nie odchodź, nie porzucaj mnie jeszcze, nie zostawiaj na pastwę i łup tym strasznym, ponurym, bezkresnym ciemnościami.

Nie patrz na mnie tym ognistym, krwawym, duszę mi szarpiącym wzrokiem i nie odchodź jeszcze, o słońce!

Nie patrz tak na mnie, bo ja w krwawym twym spojrzeniu widzę ból i rozpacz i pogardę, ołowiano-ciężką, druzgocącą pogardę...

Jam nie winien o słońce! To oni, to oni, te podłe, bezduszne karły, to oni, ci miały, bezsercowi świec handlarze wystawili tym swym nikłym świecielkom te złote ołtarze i każą im bić pokłony, czołgają się, tarzają przed nimi zawsze i wszędzie.

Nie opuszczaj mnie o słońce, bo jam się nigdy nie kłaniał tym pajęczym ich bogom i nigdy jeszcze nie zbrukałem swej duszy, nie skalałem swego mózgu najdrobniejszą choćby myślą o nich.

Słyszysz! Już idą, są tu już przy mnie, już, już chcą mnie pochwyć w swe koło i każą mi tańczyć, i każą mi płaść w tej cuchnącej błota kałuży przy świetle tych świeczek marnych i małych ten ich bezmyślny, ten ich przekłętą taniec ciemnoty.

Słyszysz ich głosy, słyszysz jak wyją: » Wy się wszyscy do świec naszych modlić musicie i modlić będziecie, a kto

nam opór stawiać zechce, temu my temi oto świecami skrzydła spalimy, a wtedy niechaj leci i pnie się ku słońcu!«

Słyszysz, jak bluźnią, słyszysz, jak wołają: »Niema słońca, niema słońca!«

Widzisz tę ciżbę, widzisz te miljarde karłów, garnących się do tych świec, do tych grzesznymi rękami brudnych pigmejów zlepionych świec, słyszysz te ich pienia, widzisz ten ich taniec, a tam pośród nich tę niezliczoną garstkę braci i dzieci moich, którym oni już pospalali skrzydła i wtrącili, przemocą ich wtrącili w to odrażające, zgniliznę szerzące błoto.

Miej litość, zmiłuj się o słońce, bo oni kiedyś dojrzą Ciebie, dojrzą, kiedy już skrzydeł nie będzie, kiedy miast nich tylko kopiec szarego, bezbarwnego zostanie popiołu, a wtedy ten tłum niezliczony tę pozostawioną mu szczyptę życia przeleje w jeden jęk, w jeden piorunowy, wszystko miażdżący jęk bezbrzeżnej i bezsilnej rozpacz.

O nie odchodź, albo mnie zabierz i nie zostawiaj na pożarcie tej trądem pokrytej tłuszczu, bo oni tu przyjdą i zegną mi kark, i zegną mi kark w niewolniczy pokłon dla tych świec, dla tych świec...

Nie odchodź, nie odchodź, bo strach mnie porywa, bo czuję tam za memi plecami trupio-blade, nieugięte, mroźne, bezlitosne spojrzenie tego nocy kuplera-księżycy, który czyha już, by mnie schwycić w swe ostre, iglaste, z rozpłomienionego, żarzącego się lodu ukute szpony.

Patrz, patrz, jak on się ku mnie zbliża, przysuwa, patrz i zmiłuj się: nie odchodź, nie odchodź...

Słyszysz! Zmiłuj się, bo inaczej wyrwę sobie z tej rozszalałej, rozognionej mojej głowy, wraz z mózgiem wyrwę garście włosów i rzucę je na Ciebie, z przekleństwem rzucę!

 Nie odchodź, bo wzgardzę Tobą, znienawidzę Cię
i plunę na Ciebie resztkami mojej skrzepłej, zatrutej, roz-
kładającej się krwi!

 Cóż, cóż mam uczynić? Mów! przemów, co mam uczynić,
by cię powstrzymać, by wzbudzić litość Twoją. Mów, bo po-
chwycę tę bryłę ziemską i sam własną dłonią rzucę ją na
Ciebie z taką siłą i wściekłością, że już nie uciekniesz, nie
skryjesz się przedemną za te Twoje wirchami niebo raniące
góry, tylko w proch się rozsypiesz i jak proch u nóg moich
legniesz!

 Więc, więc, jeśli już nie masz litości, to nie konaj, nie
konaj tak powoli.. Słyszysz, ja nie chcę Twą przedśmiertną
męką męczyć się tak długo, ja nie chcę, byś tak powoli,
tak niemo gasnącym swoim wzrokiem szarpało i strzępiło
mi duszę, ja nie chcę, ja nie chcę...

 Prędzej, prędzej!
.
. Dlaczego ja nie mogę odwrócić od
Ciebie wzroku, dlaczego ja na Cię patrzeć muszę, dlaczego,
dlaczego!...

 O nie odchodź, nie zostawiaj mnie samego, bo wyrwę
z swego serca i rzucę ci w Twoje ten mój od kolebki
ustawicznie pieszczący mnie ból, a wtedy zbledniesz, zadrżysz,
zapłacziesz, gorzko i krwawo zapłacziesz.

 O stój! stój, nie odchodź
.
.
. o słońce!

LUDZIE BEZDOMNI.

STRESZCZENIE POWIEŚCI STEFANA ŻEROMSKIEGO.

Przerażająco-ostre i krzykliwe błyskawice, pędzące za sobą w szalonym, szatańsko szalonym tempie, przerzynały czarne, groźne, piorunujące niebo, a wicher wył, strasznie wył, wściekle wył.

A morze rzucało się, pieniło i rzucało swe bałwanofale z huraganową zaciętością.

I zdawało się, że oto za chwilę piętzące się coraz wyżej bałwany dopadną gdzieś ponad chmurami rozszalałej wichury, chwycą ją za kark i zakutą w niewolnicze pęta na dno morskie rzuca.

A wicher wciąż pędził i szalał, szalał i pędził, i wył i ryczał, a szarpał, a szarpał i pędził wciąż wyżej, wciąż dalej, wciąż dalej.

I zamilkły i struchlały zasłuchane w ryk wichru pioruny, a po chwili z nową nań napadły siłą i z taką jadowitą zaciętością w grzbiet jego walić poczęły, że aż z bólu zajęczał, zapłakał.

I starły się ze sobą morze i chmury, wicher i pioruny — i zakipiał bój.

I nic nie było widać prócz piekielnie-ponurej, jak zmora duszącej ciemności i wrzynających się w jej ogromne potworne cielsko błyskawic, i nic nie było słychać prócz

huku piorunów, wiatrów ryku i plusku z ulewą pływających morskich fal.

W małej na wpół potrzaskanej już łodzi *on* jedną ręką ster trzyma, drugą zaś ciężkie dźwigającą wiosło podtrzymuje wątłe, omdlałe ciało najmłodszej swej siostry Nadziei, której blada, bezkrwista twarz patrzy na niego smutnie, boleśnie smutnie i cicho, a rzewnie mu szepcze: »Nie dopłyniesz, rozbitku, nie dopłyniesz, bo oto i ja odejść cię muszę jak odeszli wszyscy, których na własnem wychowałeś sercu, których swą krwią serdeczną karmiłeś i ogrzewałeś«.

»Pozostaniesz sam i ulegniesz, bo uledz musisz huczącej na około ciebie burzy, jak ulegli ci wszyscy, których tak kochałeś, a których bezwładne zimne i cuchnące już ciała leżą tu na dnie twej nędznej i śmiesznie małej łodzi«.

»Nie patrz już na ster, rzuć wiosło, rzuć, bo i tak nie dopłyniesz.

I skończyła... Rzucił więc wiosło, wzrok od steru odwrócił i resztki swych sił, resztki swych myśli i pragnień, swego »ja« ostatki, — wszystko przelał w ten łzawy wzrok swój i patrzył tylko długo, długo z cichą rezygnacją i bezbrzeżnie wielką żalnością na wstrętne, odrażające i cuchnące trupy, tarzające się w brudnej, błotnistej kałuży, napełniającej dno jego zniszczonego i spróchniałego czółna.

W każdego z tych tu leżących *on* ongi wpatrywał się jak w tęczę, każdego z nich pieścił, tulił do serca i piersi, a teraz i nozdrza zatyka i głowę odwrócić musi, by nie czuć tej w gardle drapiącej woni, nie widzieć tych wstrętnych odrazą przejmujących szczątków myśli i piękna.

Gdy wsiadał do swej łodzi, było ich tyłu naokoło

niego i tak im było wesoło i dobrze; teraz pozostał sam ze smutkiem swoim tylko, a tak mu źle, tak źle...

A kiedy na pełne wypłynął morze, umarła mu pierwsza Wiara, a po jej śmierci wszyscy się tak gryzli żałobą i poili smutkiem, że jedno za drugim niedomagać zaczęli, i oto skołała ostatnia.

Nad trumną swej Wiary wił się z rozpaczny, kłął, bluźnił, a gdy odeszła Nadzieja, już mu i łez zabrakło, bo ani jednej już przelać nie mógł i nie potrafił.

Odeszli go wszyscy, a każdy z nich w chwili pożegnania mówił mu cicho: »Nie dopłyniesz«. Lecz on, ten atom nędzny i marny, rzucił się w objęcia tytanicznej pychy i walczył.

Wicher go obalał, ręce zamieniły mu się w jedną wielką masę palących pęcherzy, a on zrywał się znowu, chwycił wiosło, ster i walczył, i walczył, i walczył.

Długo już tak płynął i długo tak walczył, bo przez cały niemal czas jego żeglugi burza szalała, a on się wciąż jeszcze łudził, że dopłynie do tej przepięknej wiosnianej krainy, o której mu mewy bajeczne cuda krakały i cichą a piękną pieśń nuciły trawy i krzewy nadmorskie.

I teraz nawet zdaje mu się, że grzmoty i wicher i ryk fal grają mu jakąś tytanicznie-potęzną fanfarę o tej ziemi, do której tak długo dążył, lecz tym razem on sobie już mówi »Nie dopłyniesz«...

Więc i wiosło rzucił, i ster opuścił i czeka, choć wie i czuje to dobrze, że on już czekać niema czego.

A burza wciąż huczy i kipi i wre, a z pośród tego wszystko obejmującego szumu wyłania się jakaś rzewnie-cicha melodja i wsącza mu się powoli, powoli do duszy i serca:

»Hej tam, za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką jest cudna i bajecznie piękna ziemica, a tak tam jest cicho, tak cicho, że słyszysz każde słowo drzew gwarzących, oddech trawki każdej i najłżejsze westchnienie najmniejszego nawet kwiecia«.

»Hej tam, za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką jest cudna i bajecznie piękna ziemica, a tak tam w dzień słonecznie, słonecznie, a w nocy tak księżycowo, tak księżycowo, że widzisz bijące serce w piersi każdego kamyczka, w każdym źdźble słomy i w każdej śnieżno-białej kropelce rosy«.

»Hej tam za dziesiątą górą, za dziesiątą rzeką jest cudna i bajecznie piękna ziemica, a mieszka ci tam niezemska królowa Miłość, a wszyscy jej poddani nic, nic, nic nie jedzą tylko piją, piją — szczęście piją«.

Słyszysz te pienia słodkie ucho rozbitka, i głowa jego na pierś opada, a z duszy wypływa westchnienie łzawe, coraz łzawsze, bo własne jego serce mówi mu już teraz: »Nie dopłyniesz«.

A łódka, pozostawiona woli wichru i bałwanów morskich, kołysze się, kołysze i w konwulsyjnych, przedśmiertnych podskokach mknie bez celu dalej.

A bólem spalony, skamieniały już niemal rozbitek obojętnym patrzy okiem na ten wszystko niszczący bój rozwścieczonych żywiołów, a u nóg jego leżą trupy jego bliższych i drogich.

I wszystko mu jedno, w którą stronę wichry i bałwany rzucają jego łódź strzaskaną, bo w świadomości jego żarzy się cicha iskra smutku i ognistym rylcem wypala mu w niej te serce mu nadrywające słowa: »Nie do brzegu ty płyniesz, okręć, nie do brzegu...«

A na ramię mu spadła mewa z połamanymi skrzydłami,

więc patrzy na nią wzrokiem pełnym niemego politowania i wzdargy i śmieje się z tak gorzką ironją i z taką boleścią ze swego losu i z tej biednej głupiej mewy, która szuka schronienia i opory na jego bezwładnem, omdlałem ramieniu.

A łódka, pozostawiona woli wichru i bałwanów morskich, kołysze się, kołysze i w konwulsyjnych przedśmiertnych podskokach mknie bez celu dalej.

I oto wtedy, kiedy już tylko zimnym obojętnym wzrokiem na przybycie śmierci czeka, nagle z oddali, z oddali spostrzega maleńkie, zaledwie dostrzegalne światełko, a po niej jakim czasie — o, radości! — coraz wyraźniej i wyraźniej morską rozpoznaje latarnię, patrzącą nań, jakby dwoje dużych, poczciwie i szczerze patrzących oczu — oczu niebieskich.

Na ten widok cud się iści: wszystko w nim zmartwychwstaje, budzi się i rwie znowu do życia. Siły, tytaniczne jakieś siły wstępują weń, rozpierają mu piersi, podnoszą i naprężają do walki bezwładne przed chwilą ramiona.

I oto wiosło i ster znowu już w silnych są dłoniach, a łódka na przekór bałwanom, wichrom i piorunom tryumfalnie stąpa po grzbietach bezsilnie wściekłych morskich fal i pędzi w jednym już tylko kierunku: ku owym dużym, coraz większym, tak poczciwie i dobrze patrzącym oczom niebieskim.

A z pośród jęku wichrów, huku piorunów i ryku bałwanów i fal wypełza znów ta sama cicha i rzewna melodia i cichym, ledwie dosłyszalnym półszepcetem rozpowiada mu o cudach, napełniających królestwo Miłości i o tem, jak to

tam ludziska nic nie jedzą, nie jedzą, tylko wciąż z kruż
bezdennych piją, piją szczęście.

I oto z każdą chwilą, coraz mu jaśniej, jaśniej, bo jest
już tak blisko tej zmartwychwstaniem go darzącej latarni
morskiej — tej pary tak pocziwie i szczerze patrzących
oczu — oczu niebieskich.

I oto wszystko: przeszłość i terażniejszość runęły
w otchłań, w przepaść bezdenną i została mu tylko przy-
szłość — ta jego latarnia morska, te niebieskie oczy.

I czuje on, że w tych oczach niebieskich, w tej latarni
morskiej zamknął się i mieści cały świat jego, że po za nią
jest tylko pustka, pustka, pustka.

Więc znów duszę i serce we wzrok swój przelewa
i patrzy na tę latarnię morską i śpieszy i pędzi coraz ku
niej bliżej, coraz ku niej bliżej, bo wie, że tam za nią
zaczyna się państwo nieziemskiej królowej-Miłości, gdzie
to ludzie nic, nic, nic nie jedzą tylko piją, zawsze, ciągle
szczęście piją.

I jest mu coraz jaśniej, coraz słoneczniej...

A latarnia morska wciąż bliżej, bliżej, a niebieskie oczy-
gwiazdy świecą tak jasno, że jego, który tak długo oto-
czony był ciemnością, światło to razi, tak razi, że musi,
musi wzrok odwrócić.

Spojrzał więc poza siebie i ujrzał to, czego przedtem
w ciemności nie widział, bo dojrzeć nie mógł. —

Morze, to szalejące rozwścieczone morze, nad którym
wicher zacięty bój z piorunami stacza, przepełnione niezli-
czoną ilością śmiesznie małych, nawpół potrzaskanych czó-
łenek i potężnymi olbrzymimi okrętami, które, walcząc z burzą

i uciekając przed nią, zatapiają bez litości napotykaną po drodze nędzne i śmieszne małe łódki.

A w tych małych niezliczonych lilipucich łódkach płyną strasznie chudzi i wynędzniali ludzie, a każdy z nich w swej łodzi wiezie wstrętne, cuchnące trupy swych bliskich i drogich.

Przedtem tego nie widział, bo ciemno było, lecz teraz świeci ta latarnia morska, patrzą te niebieskie oczy, więc on to wszystko widzi, widzi i czuje, czuje.

I wie on teraz, że do tej morskiej latarni dopłynąć mu nie wolno, że od tych niebieskich oczu odpłynąć musi, że do tej krainy, gdzie to ludzie ciągle zawsze szczęście piją już nie dopłynie, nie dopłynie.

Odwroci więc łódkę i popłynie tam, skąd przypłynął, by cucić tych omdlałych i mdlejących małych łódek żeglarzy, by obetrzeć łzy płynące z oczu tych, których ręce steru i wiosła pilnować muszą.

Popłynie, by opowiadać mieszkańcom tej niezliczonej ilości łódek małych, których ciągnęła nieprzenikniona ciemność otacza, o przepięknej bajecznie cudnej ziemicy niezemskiej królowej-Miłości i o tem, jak to tam ludziska nie nie jedzą, nie jedzą, tylko wciąż piją, z kruż bezdennych zawsze ciągle szczęście piją.

Popłynie, by walczyć w imię tych małych łódek i wspólnie z nimi z zatapiającymi je okrętami, aż sam się dostanie pod koło okrętu i zginie, a potem wraz z łódką na dno, na zimne, brudne, śliskie dno popłynie.

I łka, i szlocha, i szarpie, i nadrywa mu się serce z tęsknoty i bólu, bo wie i czuje to dobrze, że tej morskiej latarni, tych niebieskich oczu już nigdy więcej, nigdy nie zobaczy.

Lecz one, te duże tak poczciwie, tak szczerze i tak dobrze patrzące oczy poślą za nim swe gwiaździste pro-

mienie, a choć oczy jego już ich nie dojrzą, serce i dusza odczują te słonecznie złote promienie, płynące z oddali, z oddali, z tej morskiej latarni, z tych dużych, tak pocziwie i szczerze patrzących oczu — oczu niebieskich.

Płynie więc nawpół potrzaskana, śmiesznie mała łódka w powrotną znów drogę, a nad nią huczą pioruny, mewy tak żałośnie i cmentarnie jakoś kraczą i ryczy wicher, i bałwany szumią, a chmury rzewnie płaczą.

SPIS RZECZY.

	Str
Kto wpierw?	5
Ty spij spokojnie	7
Czy proza?	12
Zachód słońca	14
Ostatnie »Koł Nydraj«	15
Obrazek z nowelki »Uniewinniony«	20
Nad grobem marzeń	22
Smutno mi	24
Urywek z nowelki »Chi lo sa«	27
Dzwon zatopiony	29
Urywek z nowelki »Dwie pozy«	32
Modlitwa wieczorna	33
Ludzie bezdomni	36

OMYŁKI DRUKU.

Strona	5	wiersz	13	z góry	zamiast	pięknem = pięknem,
»	9	»	13	»	»	maleńkie = maleńkie,
»	9	»	9	z dołu	»	ziemi = ziemi,
»	10	»	3	»	»	poczułem = poczułem,
»	16	»	12	»	»	wigilia = wigilja
»	19	»	1	z góry	»	ślepe = ślepe,
»	19	»	4	»	»	piękną = piękną,
»	24	»	4	z dołu	»	widząc = widząc,
»	30	»	6	z góry	»	głęboko = głęboko,
»	34	»	8	»	»	niezliczoną = nieliczną
»	39	»	14	»	»	królowa Miłość = królowa, Miłość

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-08-63, 26-52-31 w. 42



F
1070